

V-0100/4

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 103.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 1/2.

Warszawa, $\frac{2}{14}$ września 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Każmirz Cieciszowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Zamek w Nowym-Sączu (z drzeworytem). — Były klasztor cystersów w Rudnie, w Górnym Szląsku (z drzeworytem). — Nagrobek Mikolaja i Zofii Oleśnickich na Łysej Górze (z drzeworytem). — Ksiądz Hugo Kallitaj (dokończenie). — Kodeks cywilny i procedura małżeńska (z dwoma drzeworytami) (dokończenie). — Szachy. — Rebus. — Vidi Angelos (poezya). — Opinia. — Kalina, podanie litewskie. — Rozmaitości. — Korrespondencya od redakcyi.

Każmirz Cieciszowski.

W poważnem gronie dygnitarzy kościoła polskiego, którzy niezapomniane usługi jako kapłani i obywatele dla kraju położyli, wydatniejsze postać czcigodna biskupa Cieciszowskiego, którego wizerunek tu podajemy.

Każmirz Cieciszowski urodził się w r. 1745, w czasach panowania Augusta III, z Dominika podczaszego liwskiego i Maryanny z Suffczyńskich kasztelanki lubelskiej. Miał braci dwóch: Adama pisarza wielkiego koronnego, ożenionego z Lelewelówną, i Ignacego podkomorzego liwskiego. Siostra jego rodzona Antonina, wydana była za Szelutę cześnika rzeczyckiego, której córka była matką naszego historyka Joachima Lelewela.

Każmirz w piętnastym roku życia wysłany został przez rodziców do Rzymu, w celu pobierania nauk w konwiktach, dla siedmiu *Colonnów* przez jednego z papieży założonym.

Uciążliwa w owe czasy była to podróż; szczególniejsze przebywanie gór w Szwajcaryi wielkiem niebezpieczeństwem groziło. Nie uniknął go młody wędrownik; na górze bowiem św. Gotarda spotkała go straszliwa burza. Wśród poświstu szalonej, zamieci, wiatr zepchnął z drogi w przepaść karety, w której siedział wraz ze swym nauczycielem i starym sługą. Konie i dwaj pocztylioni zginęli, kareta zaś, trzykrotnie w powietrzu wykrećwszy się, wpadła na ogromne drzewo bukowe i uwięzła pomiędzy rosochatami jego gałęzi. Tak zesłała noc cała, która przeważny wpływ na resztę życia Cieciszowskiego wywarła: kiedy bowiem trapieni niepokojem i niepewnością o los swój dalszy, towarzysze jego oddawali się rozpacz, młodzieniec ciche *votum* uczynił, że jeżeli Bóg wybawi ich z tej toni, on się poświęci stanowi duchownemu.

Jakby na utwierdzenie tego ślubu, usłyszeli strwożeni z radością najprzód odgłos pastuszej ligawki, a następnie przeciągłe wołanie. Nadzieja wstąpiła w wątpliwe serca: zaczęli się rozglądać w całej okolicy, a ujrawszy pasterzy kóz, którzy podziwem zdjęci na widok zawieszony na drzewie karety, z obawą zbliżali się do bukowego drzewa, zaczęli wołać o ratunek.

Zbiegła gromadka pasterzy, przekonawszy się że to ludzie, nie żadne zjawisko straszne, zdążyła na dolinę, i niebawem wieś cała pospieszyła na ratunek nieszczęśliwym podróżnikom. Z niemalym trudem, po rusztowaniu na przedce ułożonem, wydobyto ich z uwięzłej karety. W późnej już starości biskup opowiadał nieraz to zdarzenie, a jako dowód, zachowywał numer tej gazety, zwaney *Serwetką* (dla wielkiego na owe czasy formatu), gdzie ono wiernie opisanem było.

bestańskim *in partibus* przez papieża mianowany, poświęcony został w r. 1775 (2 września). Po Aleksandrowiczu, który w r. 1780 postąpił na biskupstwo chełmskie, Cieciszowski został officyałem warszawskim i księstwa mazowieckiego, i najwyższy stopień posiadał w *stallach*, w których wtedy pięciu zasiadało biskupów.

Roku 1781 mianowanym został proboszczem miechowskim. Probostwo to i opactwo *Stróżów grobu Chrystusowego*, z bogatą intratą, a niewkładające żadnych na posiadającego je obowiązków, trzymali od lat wielu sami biskupi. Cieciszowski, pojmując potrzebę oświaty w narodzie, jakkolwiek miał nader ograniczone fundusze z miejsca swego w kapitule, rzekł się jednak tego probostwa na rzecz edukacyi publicznej.

Przestrzegając karności i przepisów trydenckich, nie mógł znieść tego, że księża po kilka posiadali beneficjów, i przez to zaniedbywali obowiązki swoje; nie dał też żadnemu drugiego beneficjum, gdy już miał jedno, i ściśle tej zasady przestrzegał.

Niez mordowany w pracy po kościołach, w r. 1782 ozdobiony orderem św. Stanisława, następnie Orła białego, w r. 1784, po śmierci Ossolińskiego, mianowany był biskupem kijowskim i czerwiechowskim. Zasiadł w senacie w czasie sejmu 1786 r.

Biskupstwo kijowskie uposażone było ubogo, dlatego rzeczpospolita z dochodów miechowskich przyznała Cieciszowskiemu dodatek. Za ledwie w rok po objęciu biskupstwa (r. 1785) głód dotknął jego diecezyę i trwał bez przerwy lat trzy. Przez cały ten przeciąg czasu dostojny biskup nakarmił w katedrze lud swój bez różnicy wyznań, a po diecezyi rozsyłał zboże z dóbr swoich stołowych, rozdając je zgłodniałym i biednym parafianom.

Pomny na potrzebę oświaty ludu, w dobrach swoich Skaryszewie szkołę wiejską założywszy, utrzymywał ją swoim kosztem. Jeżeli poprzednio w obowiązkach officyała niezrównaną pracą i gorliwością dał dowody sumiennego wykonywania obowiązków powołania swego, objawjwszy rzady diecezyi ukraińskiej okazał, jak działać należy dla kraju i religii. Ówczesne pisma, pozostałe jego głosy z mównicy, dyaryusze sejmowe, nieskończonych tego dostarczają dowodów. W wielu pismach współczesnych zowią go *wielkim biskupem*, gdy sercem i duszą sprzyjał zbawiennym reformom. Na czteroletnim sejmie okazała się w całym świecie jego zacność obywatelska.



KAŻMIRZ CIECISZOWSKI. (Rysował z fotografii Polkowski).

Za powrotem do kraju spełnił uczynione *votum*, w r. 1764 przyjąwszy święcenie kapłańskie, wraz z imieniem *Kaspra*. W r. 1768 (12 grudnia) został kanonikiem; w r. 1773 (10 maja) mianowany officyałem. Przybrał go potem Załuski na koadjutora biskupstwa kijowskiego, w skutek czego biskupem te-

Za jego to usilnym staraniem uznana została konieczność rozszerzenia światła i religii w dyecezyi ukraińskiej, przez fundowanie nowych kościołów, których dwadzieścia cztery stanąć miało. Przybrał sobie wtedy do pomocy Jana Woronicza, któremu wyrobił kanonią kijowską. Pierwsze kroki tej przyszłej znakomitości kościoła polskiego prowadził Cieciszowski, i nie zawiódł się w swych nadziejach, znalazłszy w Woroniczu w trudnych zadaniach stateczną pomoc i radę.

W chwili upadku i rozdziału kraju, uniknąć potrafił ten czeigodny kapłan zamachów konfederacji targowickiej. Usunął się ze swjej stolicy do części kraju zajętego przez Austrię, a w Podkaminie dotknięty ciężką chorobą, postanowił złożyć godność biskupią, przywdziać habit i w celi zakonnej samotnie zakończyć żywot.

Znakomitsze duchowienstwo, znając całą ważność straty, gdyby Cieciszowski spełnił swój zamiar, przybyło do Podkaminia, przedstawiając swemu biskupowi, że nie tak przystoi na żołnierza Chrystusowego, nie tak czynili apostołowie święci. Te uwagi trafiły do przekonania Cieciszowskiego i wróciły mu dawną energią. Zamieszkał w domu prywatnym w Berdyczowie i tam zajmował się gorliwie duchowienstwem, seminariami i kościołami.

Zarówno u stolicy apostolskiej, jak u nowego rządu krajowego, zjednał sobie wziętość i poszanowanie. Przy urządzeniu kościoła kardynał *Litta*, nuncyusz apostolski, wyjednał połączenie dawnego biskupstwa kijowskiego z łuckim, z przybraniem tytułu łucko-żytomierskiego. W roku 1798 przeniósł się na stałe mieszkanie do Lucka, jako stolicy nowej dyecezyi.

Kiedy w r. 1803 Czacki z Kołłątajem, zajęci poprawą wychowania i rozszerzeniem oświaty na Wołyniu i Ukrainie, łączyli ku temu celowi wszelkie swe usiłowania, biskup Cieciszowski niósł im pomoc najgorliwszą. W dniu 20 października 1803 r. stanął na czele zebranego grona obywateli i duchowienstwa. „Gotowość w potrzebach kraju, rzekł biskup, jest świętą powinnością serc poczciwych, przenikniętych nauką Boga.“ Zgromadzeni zgodnie odpowiedzieli na te słowa patriotyczne złożeniem wielkich ofiar na cel oświaty narodowej. Biskup gorącym współudziałem uzyskał od duchowienstwa swego, od najniższych stopni, przyrzeczenie zajmowania się oświatą ludu, oraz przysposobiania w seminariach, odpowiednio tym zamiarom, młodego duchowienstwa. Prałaci obowiązali się składać osmą część dochodów swoich, a klasztorzy składkami pomnażały fundusze. Za danym przykładem poszło i duchowienstwo Podola, a z usiłowań tych powstała pamiętna szkoła w Krzemieńcu, otwarta w dniu 4 października 1805 r. solennym nabożeństwem, celebrowanym przez samego biskupa. W następnych latach zjeżdżał na doroczne egzamina. Jako pamiątkę opieki jego nad tą szkołą, mamy mowę powiedzianą przez niego d. 15 lipca 1808 roku.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

Wrzesień zaczyna ostrzegać nas wichrami i dęszcem, że nadchodzi pora jesienna, że zaledwie się obejrzymy, a już zima stanie na progu. Wędrownie ptaki w dwóch kierunkach gromadami lecą: skrzydlate ku południowi, opuszczając niewdzięcznie ziemię na której tylko wśród pogody letniej przebywają chętnie, lecz gdy zimniejszy wiatr zawieje, rzucają ją bez żalu, aby pod cieplejszym niebem spędzić chwile mrozów i śniegów; — bezskrzydłe ku wschodowi, wracając z letnich wycieczek, aby w kraju przebyć nudne chwile zimowe i wśród tęsknoty oczekiwać, rychło znów majowe słońce rozwinie kwiaty i poda im sposobność do porzucenia naszych jednostajnych pól i lasów, ażeby po brukach drezdeńskich lub paryżkich wzbudzać wykwintnym swym strojem podziwienie.

Od tej gromady próżnych turystów wyłączamy tych, którzy dla poratowania zdrowia zmuszeni są do zwiedzania zdrojowisk zagranicznych. Mimo to jednak iż uważamy za rzecz konieczną i niezbędną leczenie się u wód zagranicznych tym, którzy tego prawdziwie potrzebują i których lekarze wysyłają wyraźnie do tych lub owych kąpieli, zawsze atoli zwracamy uwagę publiczną na zdrojowiska krajowe, jakie królestwo polskie posiada w Busku, Solcu i Ciechocinku, a sąsiednia Galicya w Krynicy, Szczawnicy, Żegiestowie, Iwoniu, Swoszowicach, Truskawcu, Lubieniu i wielu innych miejscach. Toż w samą nawet Warszawie,

oprócz dwóch zakładów wód mineralnych sztucznych, istnieją oddawna bardzo skuteczne kąpiele żelazne przy ulicy Grzybowskiej, których woda, (podług rozbioru s. p. W. Celińskiego, profesora b. uniwersytetu królewsko-warszawskiego) podobną jest do wody mineralnej w Cambo, tylko nierównie obfitszą w żelazo i kwas węglowy.

Słyszeliśmy nieraz utyskujących, że u wód krajowych niema tego komfortu co za granicą. Jest w tém nieco słuszności; wszelako trudno wymagać od rozwijających się dopiero zakładów, aby mierzyły się z temi, co od kilkudziesięciu lat złote zbierają żniwa. Cierpliwości, wytrwałości i dobrych chęci, a dorównamy im niezawodnie, jeżeli nie wygórowaną ceną i zbytkiem, to porządkiem i wygodą. Wszakże z każdym rokiem zdroje krajowe podnoszą się i rozwijają; spółka zawiązana w Galicyi wkłada w nie znaczne fundusze i przyszłość wód naszych na dobrej jest drodze. Odwiedzając zaś zdroje nasze, zyskujemy zarazem wiele na poznaniu precudnych okolic, jakich nam nieraz zagranica pozazdrościć może, zyskujemy na poznaniu kraju i na miłszych stosunkach aniżeli te, jakie u wód zagranicznych znajdujemy.

Wedle sprawozdań drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej najwięcej osób przejeżdża w kierunku powrotnym w miesiącu wrześniu, a do powiększenia tej liczby niezawodnie w znacznej części przyczyniają się goście kąpielni.

Mówiąc o kolei żelaznej, przyznać winniśmy iż pod obecnym kierunkiem z każdym rokiem rozwija się ona na korzyść. Ruch coraz większy, ulepszenia zaprowadzają się w miarę sił, szyny nowego układu zastępują dawne, a zwiększona ilość parochodów i wagonów, pozwala zarządowi rozporządzać znacznymi siłami i wszelkim wymaganiom zadosyć uczynić. Cała przytém służba drogowa pełni swe obowiązki z gorliwością i uprzejmością, bardzo różną od szorstkości po innych kolejkach napotykaną. Dość granicę przejechać, aby się o tém przekonać; dziwnie tam uderza niegrzeczność służby, częstokroć wcale po polsku nieumiejącej, lub udającej że nie rozumie. Taką jest właśnie kolej galicyjska. Pomimo że zostaje pod naczelnictwem znakomitego obywatela tamecznego, pomimo że akcyonaryuszami są Galicyanie, pomimo gorących prób publiczności i niejednego gorzkiego artykułu w dziennikach, dojsć do tego nie można, aby się z konduktorem na kolei rozmówić grzecznie, chyba że się przemawia językiem obcym, który natychmiast rubasznosc przemienia w uprzejmość.

Właśnie kończyłem pisać powyższe wyrazy, kiedy nadszedł jeden z moich dobrych znajomych i przechylszy się przez poręcz krzesła, odczytał je po cichu.

— Na to wszystko z wami się nie godzę, zawołał mi za uchem.

— Jaktó! alboż nieprawda? zapytałem.

— Tak, i prawda i nieprawda. Przeciw kolei naszej nic nie mam, ale muszę się ująć za zagranicą.

— A to w jakiej materji?

— W tej, że i zagranica ma swoje strony jasne, jaśniejsze od naszych.

— Ciekawy jestem w czém takim?

— Przed miesiącem byłem w Pradze czeskiej i tam kupiłem nieco książek nowo wyszłych u naszych pobratymców. Książki te ważyły razem funtów 29. Z Pragi do Krakowa zapłaciłem porto złotych 4 i groszy 20; z Krakowa do granicy 80 centów austriackich, co wynosi około trzech złotych polskich. Ale zgadnijcie też wiele zapłaciłem z Granicy do Warszawy?

— Może dwa lub trzy razy tyle.

— Ba, gdzie zaś! zapłaciłem złotych *czterdzieści!* Otóż wzięwszy obrachunek ten pod kródkę, gdy z Pragi do Krakowa jest mil 80, a kosztuje złotych 4; zaś z Granicy do Warszawy połowa tej odległości, a koszt dziesięć razy większy, przeto rzecz jasna jak słońce, że u nas przesyłka dwadzieścia razy więcej kosztuje.

— Któż tedy winien, zapytałem, czy kolej?

— Uchowaj Boże!

— Więc poczta?

— Broń Boże!

— A więc przez kogoż otrzymaliście książki?

— Przez dom handlowy.

— Więc dom handlowy winien?

— Ja niewiem, ale księgarz który mi tę przesyłkę ułatwił, przekonał mnie dowodnie rachunkiem domu handlowego, że powyższe koszta rzeczywiście zapłacił.

— Któż więc winien w końcu? zapytałem zniecierpliwiony.

— Niewiem, odrzekł z flegmą, wiem tylko tyle, że dziesiątemu odradzę aby sobie książek nie sprowadzał sam, bo zapłaci czasem więcej, aniżeli ich wartość wynosi.

— Czy to już wszystko co na pochwałę zagranicy mieliście do powiedzenia?

— Jeszcze jedno.

— Słucham...

— Oto dziwi mię bardzo, dlaczego tam (wyjąwszy Drezna) dorożki są tak wygodne, u nas zaś budowa ich zawsze wedle starej formy, bez żadnych ulepszeń.

— Jakież mają być ulepszenia?

— U nas do dorożki drapać się trzeba po dwóch wysokich stopniach, co szczególnie dla osób podeszłych, oraz dla dam przy terażniejszej modzie, arcy jest niewygodnym; przytém dorożka otwarta wystawia jadącego na dęszce i kurzawę. Tymczasem zagranicą, a nawet w biednym Krakowie, zaprowadzono jedno i dwukonne karetki, u których drzewiczki ledwie na 40 cali oddalone są od ziemi.

— Czy już koniec?

— Jeszcze nie. Powiedźcie mi, dlaczego w Warszawie niema omnibusów, któreby kursowały n. p. od ulicy Zakroczymskiej aż do trzech krzyży, a w porze letniej do Mokotowa i Wierzbna, kędy codziennie mnóstwo osób zostających na letnisku mieszkaniu, mimo sypku i kurzawy, idzie na obiad lub nocleg? Przedsiębiorstwo to dobrzeby się opłacało, podobnie jak i w kierunku od Krakowskiego-przedmieścia ku wolskim rogatom. Interesentów jest mnóstwo, wielu się bardzo spieszy, a nie każdego stać na dorożkę. Tymczasem w omnibusie każdy chętnieby zapłacił półzłotka, i to za kurs przyniosłoby zł. 6 z pary koni, zamiast 40 groszy.

— Wieleżto jeszcze ulepszeń brakuje w naszej stolicy! rzekłem zakochając rozprawę. Cierpliwości! pozwoli wszystko się rozwinie, tylko trzeba zachęcać.

— Szczęśliwy byłbym, gdybym mógł waszym słowom uwierzyć.

Uderzyło to zapewne czytelników, żeśmy w naszej rozmowie nie tytułowali się panem, ani tykali, lecz używali wyrażenia *wy*.

Otóż bronimy tego pięknego zwrotu naszego języka, zwrotu dziś zaniedbanego, a niegdyś powszechnie używanego, czego dowód został w ustach włóścian i starych księgach.

Pan, jestto wyrażenie zupełnie z duchem naszego języka i zwyczajów niezgodne; *ty*, w wielu razach zanadto poufale; dawne zaś *wy* jest czémś pośredniem między tamtymi, a brzmi uroczyście i poważnie; dlatego radzibyśmy dawną przywrócić mu wziętość.

Piękna rzeźba naszego ziomka Bolesława Syrewicza, (której opis i rycinę daliśmy czytelnikom jeszcze w N. 40 Tygodnika), wystawiona od niedawna w hotelu europejskim, za ofiarą dowolną na korzyść Towarzystwa dobroczynności, córaz więcej ściąga ciekawych. Szczegółowe ocenienie zalet i usterek pracy p. Syrewicza, zostawiamy naszym kronikarzom i sztuk pięknych; w tém miejscu zaś wspomnimy tylko o drobnej napozór okoliczności, która niemiłe jednak na zwiedzających czyni wrażenie. Na jednej z tablic mających być wprawionemi w boki podstawy, znajduje się napis: *Wykonane przez Bolesława Syrewicza* (zamiast Syrewicza). Nieraz już podnosiły się u nas głosy przeciw nieodmienianiu imion rodowych; gorszono się gdy kto pisał: byłem u pana Plater (zamiast Platera), widziałem pannę Zarembo (zamiast Zarembiankę) i t. p. rzadko jednak to potworne pomijanie przypadkowania dawało się napotykać w nazwiskach zakończonych na *ski* i *wicz*. Tym sposobem łatwo dojsć możemy do tego, że zacniemi mówić i pisać: rzeźba ta jest dziełem Oskara Sosnowski (!) i t. d. Nie wiemy czy p. Syrewicz dobrowolnie tak okaleczył rodzinne swe nazwisko, czy też to może wina kamieniarza; w każdym jednak razie pragnęlibyśmy, aby przed ustawieniem pomnika sprostowano w nim tak rażącą pomyłkę.

Grammatyczna ta kwestya i użycie wyrazu pomnik, nasuwa nam na pamięć list jednego z naszych korespondentów miejskich, w którym jest mowa o niewłaściwym pisaniu *pomnik* zamiast *nagrobek*. „Nagrobki, pisze szanowny korespondent, jakie stawiamy po kościołach i cmentarzach dla uczczenia pamięci nieboszczyków, chociażby ci położyli niejaki dla kraju zasługi, nie są jeszcze pomnikami, bo pomniki stawiają się w pamięć tylko wielkich wypadków i wielkich mężów, mających znakomite znaczenie w dziejach narodu. Kiedy język jest tyle bogatym, iż posiada oddzielne wyrazy na określenie drobniejszych nawet odcieni danego przedmiotu, pocóż ten język z umysłu kaźić używaniem wyrazu blizkoznacznego, zamiast właściwego? Ma słuszność szan. korespondent, że wyrazów blizkoznacznym mięszać nie należy; wszelako zwracamy jego uwagę, że *pomnik* znaczy w ogólności znak postawiony dla pamięci, niekoniecznie wielkich tylko ludzi i wypadków. My różnicę między temi

wyrazami widzimy raczej w tém, że pomnik stać może wszędzie, nagrobek zaś tylko na grobie; nagrobek zawsze jest pomnikiem, ale pomnik niezawsze nagrobkiem.

Otrzymałiśmy zdanie sprawy z czynności Towarzystwa naukowego krakowskiego. Po obszernym artykule jaki Gazeta Polska w swoich kolumnach zamieściła, trudnoby nam było wdawać się w szczegółowe opisywanie tych czynności, zwłaszcza że zakres naszej kroniki i jej przeznaczenie na szczegóły nie pozwala. Nie możemy jednak nie wyrazić naszego uwielbienia dla prac Towarzystwa, tak szczupłymi rozporządzającego zasobami. W ciągu roku ubiegłego, członkowie wypracowali trzydzieści rozpraw wyświecających kwestie historyczne, archeologiczne, prawne, literackie, matematyczne, z nauk przyrodzonych i lekarskich. Wydano dalszy ciąg wyborniej botaniki prof. Czerwiakowskiego i przedrukowano pierwszy tom matematyki prof. Steczkowskiego. Ogłaszano dokumenta i źródła odnoszące się do historii i literatury polskiej; postanowiono wydać rękopisma po historyografach akademii krakowskiej; zbierano zabytki w przedmiocie dziejów, wewnętrznego życia i oświaty krajowej; urządzono zebrać i wydać w osobnym dziele, jako materiał historyczny, napisy nagrobkowe po całym kraju istniejące; wyjednano fundusze i zajęto się czynnie opieką nad zabytkami dzieł sztuki; utworzono wreszcie w łonie Towarzystwa cztery komisyye, mianowicie: do prac historycznych, terminologiczno-prawniczą, balneologiczną (zajmującą się źródłami krajowymi) i fizyograficzną, której zadaniem opisanie ziemi polskiej pod względem topografii, klimatu, meteorologii, geologii, flory i fauny.

Ileż to prac pożytecznych w jednym roku! Zaprawde, bez przesady powiedzieć można, że Towarzystwo naukowe krakowskie pięknie się zasłużyło ogółowi naszemu. Szczególna wdzięczność należy się czcigodnemu jego prezesowi, dr. Majerowi, i zacnemu sekretarzowi, księdzu Serwatowskiemu; ogólna zaś wszystkim członkom Towarzystwa, z których każdy, wedle możliwości, przykłada się do pracy wspólnej. Widać życie pełne tej instytucyi, której tylko potrzeba pomyslnych warunków, aby się rozwinąć i działać jeszcze pożytecznie mogła. Życzeniem aby to nastąpiło, kończymy dzisiejszą kronikę.

Otrzymałiśmy list z Suwałk, który zamieszczamy tu w kilku główniejszych wyjątkach, nie mogąc drukować go całkowicie, z powodu zbytnej jego rozciągłości.

Szanowny redaktorze.

„W numerze 96 Tygodnika Ilustrowanego zamieszczono artykuł o Wigrach, w którym autor na str. 36 tak się wyraża:

„Dziś wszystko znikło, a kościół zniszczony, mury rozwalone są świadkami bogatej przeszłości. Wnętrze dzisiejszego kościoła zupełnie zaniedbane, odznacza się jeszcze śladami sztuki.“

„Te kilka wyrazów przekonywają, że autor tego artykułu zbyt dawno Wigier nie zwidział, albowiem kościół tamedzny, w roku zeszłym i bieżącym, we wszystkich szczegółach wyrestaurowany został. Gmach cały wraz z środkową nawą blachą żelazną pokostowaną nakryto, również wszelkie wysoki blachą zabezpieczono, sklepienia wyreparowano, posadzkę flizową uregulowano, schody kamienne przed kościołem do stanu używalnego doprowadzono i kościół tak wewnątrz jako i zewnątrz odświeżono, na co wydano przeszło rs. 5,400. Wprawdzie pierwotną świetność i bogactwo tej świątyni nie przywrócono, ale przez gruntowną reparacyą na długie lata całość jej zabezpieczono.

„Smutno tylko patrzeć na upadające mury dawniejszego klasztoru, które jeszcze w r. 1844 były w stanie mieszkalnym, a niespełna w ciągu lat dwudziestu do takiego stanu przyszły, że dzisiaj, gdyby nawet był jaki cel podźwignienia tych murów, krocieby na to nie wystarczyły.

Tém boleśniej przychodzi patrzeć na tę ruinę, że przyczynił się do tego nie sam czas tylko, którego siła budowle, z taką troskliwością wzniesione, długo by jeszcze się opierały, ale więcej chciwość ludzka upadek ten spowodowała, czego prostym dowodem powyrwane futra od okien i drzwi, żelazto z pieców i balkonów, podłogi, pułapy, dachówki, a nawet pokrycie z blachy miedzianej z samego kościoła.

„O smutno, smutno wspomnieć, że demoralizacya doszła do tego stopnia, iż przed kilkunastą laty targnięto się nawet na grób kamedulów pod kościołem znajdujący się, gdzie spoczywają zwłoki ks. Karpowicza, pierwszego biskupa tej dycezyi, i zerwano mu z szyi łańcuch z krzyżem, a nie mogąc zdjąć pierścienia, bezbożnymi ustami ugryziono palec z tymże

pierścieniem. Lecz chciwość ta ukarana została, gdyż łańcuch był tylko tombakowy pozłacany, a pierścien z fałszywych kamieni.

„Były tu dawniej obrazy wielkiej wartości, ale z niektórych dziś tylko szczątki poszarpanego płótna pozostały, tak iż nie można nawet osądzić co przedstawiały.

„W ubocznym ołtarzu, odznaczającym się oddzielną strukturą w stylu korynckim, znajduje się obraz św. Benedykta, pędzla słynnego Smuglewicza. Dwa inne obrazy tegoż artysty, wyobrażające zdarzenia z życia tego świętego, przed kilkunastą laty zostały przeniesione do kościoła parafialnego w Suwałkach i tam ściany prezbiterium tegoż kościoła przyozdabiają.

„Zasługują jeszcze na uwagę: obraz Wniebowzięcia N. P. Maryi, mający wysokości stóp 4½, szerokości stóp 7, wyobrażający N. Pannę w białej szacie, w niebieskim okryciu; prawa ręka spoczywa na piersiach, lewa schylona ku ziemi, głowa wzniesiona do nieba; jedną nogą gniecie węży skrzydlatego, który w łapie trzyma jabłko, druga noga spoczywa na półksiężycu. Od prawej strony N. Panny wznosi się Duch św. w postaci gołębia, w około zaś gloria z grup aniołków, szczególnie u stóp N. Panny. Wzniosła postać Boga-Rodzicy, draperye, koloryt i całe wykończenie są dowodem, że dzieło to jest dobrego artysty; czyliby zaś było Smuglewicza, niewiadamo. Zawsze obraz ten godzien kopii biegłego malarza.

M.

ZAMEK W NOWYM-SĄCZU.

Nowy-Sącz, czyli raczej Nowy-Sądcz, jest dzisiaj miastem obwodowem, a leży w najpobawniejszej okolicy. Od wschodu płynie pod nim huczący Dunajec, a po drugiej stronie Kamienica, dawniej Biała zwana. Wokoło jest dolina w ramy dalekich gór ujęta, a z jej środka, przeglądając się w rzek zwierniach, wznosi się góra umajona zielonością z jednej strony, a z drugiej stercząca nagiemi, prostopadłemi skałami; na niej rozrzucone stoi porządne miasteczko i zamek oddany na naszym rysunku. Całą tę czarującą dolinę otaczają dokoła góry porosłe gęstemi borami, a pomiędzy nimi tu i owdzie bieleją porozrzucane w cudownym nieładzie wioski rozmaite. Dalej ku zachodowi wystają z po za mglistej zasłony śniegiem lśniące najwyższe szczyty gór karpaccich, które mieszkańcom okolicznym, jak Szwajcarom szczyty alpejskie, służą za przepowiednię pogody.

Jak w innych dawnych miastach polskich, jak na całej ziemi naszej, bogatej w pełne życie przeszłości, w Nowym-Sączu mnóstwo jest pamiątek historycznych; mnogie podania romantyczne, jakby czarem jakim zaklęte do starych murów, drzewią od wieków, czekając na silnego ducha, któryby je rozczarował i żywym słowem odpowiedział ziomkom. Miasto to było niegdys chronne, co poświadczają ślady fos, okopy tu i owdzie wystające jeszcze, jedna baszta zwrócona ku północnej stronie, jakby palec grozący, szczątki murów przeglądające się w nurtach Dunajca i zamek nareszcie.

Pierwotne dzieje Nowego-Sącza nikną w mgłę przeszłości naszej, ubarwionej cudami rozmaitemi. Pominąwszy bowiem zdanie niektórych romantycznych antykwarzy, którzy Sącz mienią być miastem *Asanca* wspomnianem przez Ptolemeusza i w krajobrazach Peutingera, inne podanie, zawarte w małym znanym książeczce Bonawentury Sikorskiego, gwardyana konwentu sądeckiego, wyszły w Krakowie r. 1767 pod nazwą: „Historja o obrazie Przemienienia Pańskiego w Sączu“ twierdzi, że jakiś książę ruski wysłał posłów do króla węgierskiego z tymże obrazem. W późnej nocy stanęli noclegiem u pustelnika mieszkającego wśród lasu, niedaleko wsi Kamionka. Nazajutrz ani ludzie, ani woły zaprzężone nie mogły ruszyć wozu na którym spoczywał obraz, więc go na miejscu zostawili, a król Wacław, wieścią tą uderzony, założył tu najprzód w r. 1297 klasztor, a później i miasto warowne. Inne znowu podanie w dziejach tegoż konwentu przez ks. Konstancyę Malegowskiego zapisane, powiada, że obraz ten dostał się od cesarzewi wschodnich do księcia ruskiego Lwa, który go pobożnemu pustelnikowi tutaj mieszkającemu darował. To jawna, że w dziejach naszych widzimy już w r. 1359 Wilczka z Boczoza jako kasztelana sądeckiego. Kasztelanowie sądecy byli pierwszymi między mniejszymi kasztelanami, jakoż urząd ten piastowali: Tarnowscy, Tęczynscy, Kmitowie, Bonnerowie, Stadniccy, Tarlowie.

Miasto kwitnęło przemysłem i handlem; obszerne piwnice zachowujące się dotąd świadczą, że tu były składy znaczne wina sąsiednich Węgrów, a piwo sądeckie było niemal najślawniejsze w Polsce. W r. 1370 bawił tu Ludwik król węgierski i polski, poczem wy-

wyższone zostało to miasto, wedle Kromera, do sześciu najwyższych miast apelacyjnych w Polsce. W r. 1376 Elżbieta, matka Ludwika, wezwwała tu szlachtę krakowską i sandomierską, a sama przybyła z licznym orszakiem panów węgierskich. Roku 1440 bawił Jagiello w Sączu i fundował opactwo św. Norberta, w roku zaś 1449 zjechał się tu z cesarzem Zygmuntem, który, jak powiada Bielski, radził królowi Jagielle, „aby piérwej uspokoiwszy sobie Czechy, wojnę na Turki podniósł.“ Tu się w r. 1474 Kazimirz Jagiellończyk czule żegnał z trzynastoletnim synem swoim Kazimirzem, wezwanym na tron węgierski, i poruczył go opiece mężów doświadczonych. W r. 1649 wsławił się mieszczanie sądecy zwycięstwem nad Szwedami; podanie o niem zaś twierdzi tak: załoga szwedzka chciała jednego dnia wyrzucić wszystkich mieszkańców; ale żołnierz pewien szwedzki miłością do sądeckiej dziewczyny wiedziony, przyszedł do niej wieczorem i ze łzami błagał, by uciekała z miasta przed takim niebezpieczeństwem. Mieszczanie, ostrzeżeni przez dziewczynę, wycięli wszystkich Szwedów, nie zostawivszy nawet przy życiu ostatniego, który uciekł na wieżę kościelną.⁽¹⁾

Mieszczanie tutejsi w ubiorze i obyczajach zachowują dotąd wiele dawnego; mianowicie obrzędy weselne zasługują na szczególniejszą uwagę. Po ślubie podają pannie młodej szklaneczkę wina, na której jest kawalek kołacza z wetkniętą ruszczyką rozmarynową. Podczas wesela zaś odbywają się posiedzenia tak zwanego cechu hultajskiego, którego członkowie, a osobliwie sekretarz nazwany *instygatorem*, pełnią służbę ceremoniarzy. Cech ten był dawniej szeroko rozgałęziony w całej Polsce, a nawet, jak wiadomo, miał dane sobie przywileje królów polskich. Drużba musi być koniecznie członkiem tego cechu; jeżeli zaś nowicyusz drużbuje, musi się albo wkupić do cechu pieniężną kwotą zwaną konsolacyą, albo obrządem frycowania odbyć. Takiemu nacierają brodę cegłą, gołą starym nożem, i wsadziwszy mu na głowę stary kapelus szwedzki, a potłuczone garnki na plecy, na słomianym powrozie i w jednym bucie, prowadzą go z muzyką po mieście. Dawniej cech ten pobierał rodzaj podatku od tych, którzy się po dwudziestym roku nie żenili, aż do czasu ich ślubu.

Zamek tu przedstawiony zapada coraz więcej w zwałiska; stoi jeszcze brama, przez którą się wjeżdża na dziedzienniec, na którym zapewne niejedna odbyła się rycerska zabawa. Sam gmach jest wielki, sale w nim obszerne; niedawno jeszcze powyjmowano z nich marmurowe kominki, a po niankach coraz więcej malowidłał ściennych, pajęczę ciągną się sieci, jakby coraz grubsza czasu zasłona. Na jednym rogu wznosi się czworograniasta wieża z mnogimi ozdobami architektonicznymi, z której uroczy rozciąga się widok na całą okolicę. Tuż za zamkiem jest kościółek piękny, a przy nim leży rozlupany na dwoje pomnik grobowy, wyobrażający leżącego rycerza zbrojnego, z herbem Gryff na boku. Tablica z czerwonego marmuru na tym kościółku opowiada, iż go Wacław król polski i czeski w r. 1297 założył. Obrócony teraz został na zbór wyznania akatolickiego. W kościele zaś św. Ducha, zmurowanym w r. 1400 na klasztor niegdys premonstratensów, jest godny widzenia obraz króla Władysława Jagielle, w wielkości naturalnej, jako założyciela tego kościoła. Król pełnej twarzy, z rudemi włosami, w zbroi i rodzaju burki sobolowej podbitej purpurą, trzyma w ręce królewskie jabłko srebrne. Był jeszcze zaraz za miastem kościółek drewniany św. Krzyża, dziś już rozebrany, o którym podanie dziejowe powiada, że miał niegdys należeć do biskupa pragskiego; granice bowiem tej dycezyi miały się za św. Wojciecha rozszerzać aż po Bug i Dniestr. Jakoż św. Wojciech miał tu nieraz odprawiać służbę Bożą w słowiańskim jeszcze języku, a ostatnią słowiańską liturgię miał w nim r. 1440 kardynał, a potem metropolita kijowski i carogrodzki, Izydor z Rusi, gdy wracał do ojczyzny z listami papieża i cesarza greckiego. Jest nareszcie w Sączu, jako zabytek starożytności, kościół farny dosyć obszerne i pięknie zbudowany. Na wysokiej jego wieży zawieszony jest dzwon największy może w Galicyi, lany w XVI wieku przez majstra niemieckiego, a w kościele jest obraz twarzy Chrystusowej na cyprysowem drzewie, malowany, wedle podania, przez św. Łukasza. Czyli to pobożne podanie jest prawdziwe, trudno zawyrokować, ale to pewna, że obraz ten zdaje się być dziełem greckiej szkoły malarskiej i sięgać starożytności najodleglejszej. Kościół ten założył w r. 1450 Zbigniew z Oleśnicy, arcybiskup gnieźnieński,

(1) Podanie to nastęrczyło niedawno Mieczysławowi Romanowskiemu przedmiot do poematu p. n. „Dziewczę z Sącza“, którego rozbiór daliśmy w Nrze 91 Tygodnika.



ZAMEK W NOWYM-SĄCZU OD STRONY POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ. (Rysował z fotografii Kostrzewski).

o którym to nasz Paprocki w życiu arcybiskupów gnieźnieńskich powiada swoim treściwym i naiwnym sposobem:

W Sądzu kościół fundował, wzięt' potem do nieba,
Takich arcybiskupów Polsce zawsze trzeba.

z „Okol. Gal.“

Były klasztor cystersów w Rudnie, W GÓRNYM SZŁĄSKU.

Podróżnik jadący od Wrocławia koleją żelazną do Austrii wiodącą, spostrzeże na lewo, w południowo-wschodniej części regencyi opolskiej, piaszczystą, nieco ponurą okolicę Górnego Szląska, uwieńczoną cie-

mnym lasem jodlowym, a obejmującą większą część okręgu rybnickiego.

Tam ponad brzegiem rzeki Rudki leży były klasztor cysterski Rudno (Rauden), założony 24 października 1258 r. przez Władysława księcia opolskiego. Pod dłońmi pracowitemi osadzonych tu zakonników, okoliczna puszcza wkrótce się ożywiła, a kościół i kla-



BYŁY KLASZTOR CYSTERSÓW W RUDNIE, W GÓRNYM SZŁĄSKU.

sztor, pierwotnie z drzewa wystawione, pod opatem Andrzejem Emanuelem i jego następcą wzniosły się w teraźniejszej swój objętości, po sekularyzacji zaś przerobione zostały na dzisiejszy zamek.

Podczas wojny trzydziestoletniej klasztor kilkakrotnie przez Szwedów i Austryaków był zrabowany, a w wojnie siedmioletniej nałożono nań kontrybucją w ilości 89,488 talarów. Bogate jednak posiadłości i trafny zarząd zakonników, pozwoliły im wkrótce zapomnieć o doznanych stratach. Obok rozległego gospodarstwa i wielu przedsięwzięć przemysłowych, cystersi ruzieńscy zwrócili także uwagę na wychowanie młodzieży i założyli w tym celu r. 1744 gimnazjum, które r. 1816 przeniesiono do Glewic.

Dnia 30 października 1810 r. dekretem króla pruskiego nastąpiło zniesienie klasztoru, i wszelkie jego posiadłości w r. 1812 sprzedane zostały księciu hesen-kasselskiemu. W latach 1813 i 1814 zabudowania klasztorne służyły za lazaret wojskowy, ostatecznie zaś, razem z dobrami raciborskimi, dostały się księciu Hohenlohe-Waldenburg.

Teraźniejszy zamek, z pięknym w stylu gotyckim kościołem i wspaniałym otoczony parkiem, przez który srebrzystą wstęgą snuje się rzeka Rudka, jest niezawodnie jedną z najbardziej malowniczych i najstarszanniej utrzymanych posiadłości prywatnych na Szląsku.

NAGROBEK
MIKOŁAJA I ZOFII
OLEŚNICKICH
NA ŁYSÉJ GÓRZE.

O kościele święto-krzyżkim na Łyséj Górze dużo u nas pisano. I Tygodnik Illustrowany jeszcze w roku zeszłym podał widok tej pięknej świątyni, ze stosownym, podług najnowszych źródeł, opisem dziejowym. Nie będziemy przeto powtarzać co już czytelnikom dobrze jest znanym, przypominamy tylko o kaplicy na korytarzu klasztornej będącej, która jest najdawniejszą częścią całego gmachu, a którą wystawił w r. 1604 Mikołaj z Oleśnicy Oleśnicki, wojewoda lubelski, i na odwiecznie tu znajdujące się rodziny swojej groby przeznaczył.

Otóż z prawej strony od wejścia znajdują się tam dwa nagrobki założycieli, wyżej wspomnianego Mikołaja i Zofii Oleśnickich. Wyobrażają one leżące osoby, to jest rycerza w zbroi i niewiastę w zwykłym ówczesnym ubraniu. Rzeźby te wykonane są z marmuru ciemnego, twarze zaś i ręce z cielistego alabastru, co im szczególniejszy wyraz nadaje. Dwa te nagrobki, chociaż nie jednocześnie, jedną przeciw stanowią całość. Po obu stronach umieszczone są herby Dębno i Szreniawa, a pod spodem napisy w języku łacińskim, które w dosłownym przekładzie brzmią jak następuje:

B. N. N.

Potomności poświęcone. Jasnie wielmożna pani Zofia Oleśnicka, jasnie wielmożnego pana Mikołaja z Oleśnicy Oleśnickiego wojewody lubelskiego małżonka, córka jasnie wielmożnego pana Sebastjana z Lubomierza kasztelana wojnickiego hrabiego na Wiśniczu starosty sandomirskiego, pozostawiwszy dwóch po-

tomków męzkich, Zbigniewa i Jana, tudzież jedynaczkę Annę, przeżywszy z mężem w największej zgodzie lat dziesięć, zgasła w roku zbawienia 1612.

Następuje dalej wyliczenie cnót i przymiotów zmarłej w poźyciu społecznym i małżeńskim.

Na drugiej zaś tablicy jest napis:

B. N. N.

Cokolwiek było znikomem, tu złożone zostało. Duch jest w niebiosach, sława zaś na ziemi. Był jasnie wielmożny pan Mikołaj z Oleśnicy wojewoda lubelski, Jana z Oleśnicy i Zofii Spinkównéj z Bądkowa

nością téż swą tak był sławny i poważany, że żaden zjazd się bez niego nie obszedł, w każdym na słowie jego polegano, ufano rozsądkowi i doświadczeniu, a wierzone w cnotę i przywiązanie do kraju.

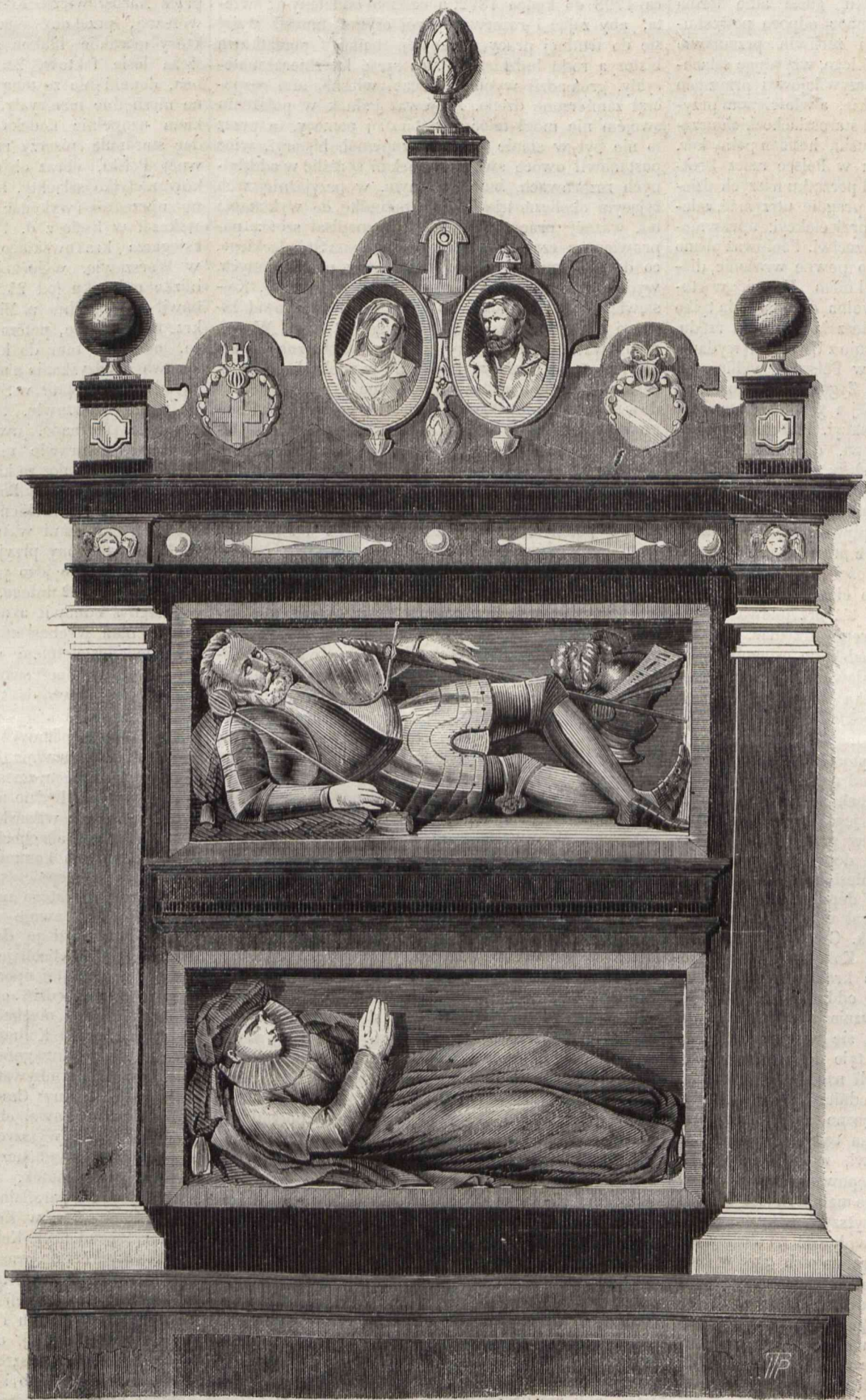
Książ Hugo Kollataj.

(Dokończenie.)

Po trzechletnim sprawowaniu urzędu rektora akademii krakowskiej, gdy Kollataj przybył do Warszawy 1786 r., mianowany został referendarzem w. ks. lit. Tym sposobem wszedł do zawodu politycznego, w którym jego potęga umysłowa znalazła właściwe pole do przeważnego wpływu na najżywotniejsze sprawy krajowe i do stosowania rozległych a zbawiennych pomysłów. Działalność jego odtąd staje się tak obszerną i wpływową, tak ściśle łączy się z najważniejszymi usiłowaniami narodu, że aby ją objąć i należycie przedstawić, trzeba by opowiadać dzieje całej owéj epoki. Odsyłając więc po szczegóły do historii, zrobimy tu krótkie tylko wzmianki.

Jeszcze w roku 1775, gdy Kollataj wrócił do kraju, zastał go w stanie wzburzenia: wytykano wady osobom i urządzeniom i domagano się poprawy, a myśli o potrzebie reformy unosiły się jakby w powietrzu. I Kollataj poszedł za tym powiewem, lecz gruntowny jego umysł nie mógł być tylko odgłosem drugich; przeciwnie, sam starał się zbadać co utrzymać, a co przeistoczyć i jak wy p a d a ło. Dlatego pilnie rozczytywał się w dziejach krajowych, naradzał się z biegłszymi w tej rzeczy i osobiście zgłębiał prawa, dobre i liczne aż nazbyt, ale skutkiem nawyknięcia do samowoli i bezrządu, wywracane bezkarnie. Taka praca i zastanowienie gruntowne wzbogaciły jego umysł światłem i rzadką trafnością, jakiej dał dowód urządzając wychowanie publiczne. Teraz, jako referendarz, z obowiązku swego urzędu poznał gruntownie stan mieszczan i ludu wiejskiego, ich usunięcie od praw nietylko obywatelskich, lecz i przyrodzonych, ich niechęć ku możliwym i obojętność na dobro powszechne, a wskutku tego brak sił potrzebnych krajowi. Ulepszone wychowanie, rozszerzone do wszystkich stanów, mogło z czasem je zbliżyć, uleczyć naród z jego wad, wrócić mu jedność i siłę; lecz był to dopiero piękny zasiew, a tu potrzeba było już plonu. Aby przyspieszyć zbliżenie się rozróżnionych warstw współczesnego sobie pokolenia, Kollataj usiłow

wał przekonać szlachtę o potrzebie zrzeczenia się wielu szkodliwych przywilejów i wyłączności, w nie-szlachcie zaś chciał obudzić poczucie należnych jej praw i chęci upomnienia się o nie. Właśnie zbierał się sejm 1788 roku, który miał szczerzej się zająć losem kraju, i Kollataj, aby oświecić powołanych na sejmiki względem ważnych przedmiotów, o jakich sejm miał stanowić, napisał szereg rozpraw o stanie rzeczypospolitej i jej potrzebach, drukowany pod tytułem „Listów Anonima do Stanisława Małachowskie-



NAGROBEK MIKOŁAJA I ZOFII OLEŚNICKICH NA ŁYSÉJ GÓRZE. (Rysował z natury Polkowski).

syn, urodzony roku pańskiego 1558, 30 lipca, pożył ten świat roku pańskiego 1629 13 grudnia, żywota zaś ludzkiego 71.

Ostatni skromny napis położył jeden z jego synów. Historia atoli znakomitsze głosi czyny zmarłego. Był to bowiem mąż wielkiego dowcipu i rozsądku; poważany od królów Stefana Batorego i Zygmunta II, odprawiał liczne za nich poselstwa i ważne dla kraju sprawy miewał polecane, a w każdej potrzebie rada, ręką, majątkiem sprawie ojczyźnej dopomagał. Dziel-

go, marszałka sejmu.“ Wyszło ich w ciągu sejmu cztery serye. Z zadziwiającą wymową, jasnością, trafnością sądu i rzadkiem obywatelskim uczuciem, kręśli on wady społeczeństwa i jego urządzeń, wskazuje naglące potrzeby i środki zaradzenia. W radach względem poprawy Rzeczypospolitej, nastaje szczególnie na ustanowienie dziedzicznego tronu i stałego sejmu; „bo co to za rząd, powiada, któremu tylko co dwa lata na sześć niedziel głowę przypawiają, który jeżeli chce być czynnym, musi buntować się przeciw własnej konstytucji; bo każda konfederacja nic innego nie jest, tylko rokosz przeciw prawu, tylko gwałtowny związek w takowym przypadku, gdzie albo forma rządu nie wystarcza, albo przemoc odporu przebija.“ Szczególniej wymownie i żarliwie przemawia w interesie miast i ludu wiejskiego, wzywając szlachtę aby się zrzekła swoich przywilejów i przyznała mieszczanom prawa obywatelskie, a włościanom przynajmniej cywilne. Jako obrońca starszylacheckich urządzeń, wystąpił Seweryn Rzewuski, hetman polny kor. w dziełku „O sukcesy tronu w Polsce rzecz krótka,“ gdzie dowodzi, że tron od początku naszych dziejów był obieralny, więc takiż pragnie utrzymać, zalecając tylko większy porządek przy elekcji; uprawniając włościan najmocniej się przeciw. Ponieważ pismo to, schlebając szlachcie, zrobiło pewne wrażenie, dlatego Kollataj 1790 r. ogłosił nad niem „Uwagi,“ w których wykazał, że tak zwana wolna elekcja była tylko złudzeniem i wcale nie ubezpieczała wolnego rządu. W oddzielnej, prawie jednocześnie z Uwagami wydanej broszurze „O bezkrólewicach w Polsce i wybieraniu królów, począwszy od śmierci Zygmunta Augusta, aż do naszych czasów,“ obszerniej i gruntownie rozwinął też myśl o szkodliwości elekcji. Przechodząc z kolei wszystkie dziesięć bezkrólewic, dowodzi, że przemoc i gwałt, nie zaś wolne głosy, stanowiły o tém, kto miał zostać królem; więc elekcja nie tylko nie przynosiła spodziewanego pożytku, ale przeciwnie stała się powodem zaburzeń, wpływów obcych, straty dawnego znaczenia i obszernych prowincyj. Pacta conventa nie ubezpieczały ani całości kraju, ani swobód obywatelskich, bo wkładały na elekta obowiązki niepodobne do spełnienia, który też przyjmował je nie w dobrej wierze, lecz aby koronę otrzymać. Zamiast elekcji, podaje dzielniejszy środek do osiągnięcia jej celów:—ubezpieczenie praw człowieka i jego osobistej swobody. Rzewuskiemu wytyka szkodliwą dążność do utrzymania przewagi możnowładztwa i uwiecznienia niewoli ludu. Rzewuski odpowiedział drugą rozprawą, dowodząc nawet przytoczeniami z Długosza, że tron w Polsce był zawsze, od najdawniejszych czasów obieralny; większość jednak sejmowa poszła za zdaniem Kollataja i wiele z jego myśli, podanych w listach anonimów, zamieniła w prawo. Tak między innymi projekt o naznaczeniu deputacyi do ułożenia ustawy rządowej, 10 lipca wniesiono na sejmie, a 7 września zamianowaną została deputacya. Do składu jej wszedł i Kollataj, i pracował w niej jako najzdolniejszy i najczynniejszy członek. Gdy deputacya chlubnie ukończyła swoje zadanie, Kollataj został podkanclerzem koronnym. Dziękując królowi i sejmującemu stanom 20 maja 1794 r. za oddanie mu pieczęci, w ognistej mowie, pełnej najwznioślejszych myśli, malując swoją wdzięczność, tak się wyraża: „Prawdo! jeżeli dzielne twoje światło tyle dokazać mogło na umysłach prawodawców, jeżeli naród poddał się już twoim wyrokom, ty mi przewodniczyć będziesz. Tobie od wczesnej młodości poświęcone życie ofiaruję do ostatecznego mego technienia; na twą boską świętość przysięgam królówi i narodowi, że cię na krok nie odstąpię, że ty będziesz postępowania mego prawdziwym... To wysokie uniesienie maluje radość Kollataja, że osiągnął jedną z najwyższych w kraju godności, mógł teraz bezpośrednio wpływać na obrady sejmowe. W istocie, często zabierał na nich głos w kwestiach najżywniejszych, popierając uzupełnienie wszystkich oddziałów prawodawstwa. Razem z Sobolewskim, posłem i starostą warszawskim, ułożył ważny i trudny projekt urządzenia sądów assessorskich, do czego trzeba było pilnie rozważać wszystkie dawne prawa w tym przedmiocie; przemawiał gorliwie o pomnożeniu funduszu dla komisyyi spraw zagranicznych; domagał się zaprowadzenia podnieo do podniesienia ducha obywatelskiego; przeprowadziwszy na sejmie prawa o miastach królewskich, starał się o rozszerzenie ich i do miast prywatnych; rozbierał naturę i cel podatków, żądając sprawiedliwego ich rozkładu; w sprawie starostw przekonywał iż, jak dobra naukowe, powinny być oddane w wieczystą dzierżawę, przez co skarbu zyskałby znaczne dochody, nie obarczając nikogo; przekładał potrzebę lepszego urządzenia sądownictwa, pracował nad ułożeniem kodeksu praw wspólnego dla obu narodów. Słowem wszystkie lata jego publicznego zawodu wypełnione

są zadziwiającą czynnością, genialnymi pomysłami dla dobra kraju i energią w ich przeprowadzaniu. Lepiej wyświecone, wykażą jego wielkie w dziejach naszych zasługi, jako prawodawcy i męża stanu.

Od końca 1794 roku zaszła stanowcza zmiana w życiu Kollataja. Utracił wszystko, co tylko można utracić na świecie, aż do majątku i zdrowia; i zaczęły się dla jego charakteru lata ciężkiego doświadczenia, które zniósł ze spokojnym i zawsze jednakim umysłem. Skazany na długie, przeszło ośmioletnie więzienie, najprzód w Józefstądzie od 14 lutego 1795 do 29 czerwca 1798 roku, potem w Ołomuńcu od 2 lipca 1798 do końca 1802, i całkiem oddalony od świata, aby zająć i rozerwać swój czynny umysł, wziął się do trudnej pracy naukowej, badając początkową historią rodu ludzkiego. Przez sześć lat zbierał materiały, gromadził wypisy i uwagi własne, nim rozpoczął zamierzone dzieło. Ponieważ jednak w położeniu swoim nie mógł mieć dostatecznej pomocy, a przez to nie był w stanie napisać zupełnej historii, więc postanowił owoce swoich dociekań skrócić w oddzielnych rozprawach, któreby innym, w przyjaźniejszych żyjącym okolicznościach, dały pobudkę do wykonania tak ważnej pracy. Tych rozpraw napisał sześć; poprawione z czasem według uwag Jana Śniadeckiego, co do przedmiotów dotyczących nauk przyrodzonych, wydane zostały w Krakowie 1842 r. przez F. Kojśiewicza, pod tytułem: „Rozbiór krytyczny zasad historii o początkach rodu ludzkiego,“ 3 tomy. W tych rozprawach, wykazawszy w jakim stanie znajdowała się historia u Greków, Rzymian i w wiekach średnich, rozbiera i ocenia tradycje pierwotne u różnych narodów starożytnych. Wśród wymysłów poetycznych i marzeń kapłańskich, zatarła się pierwotna prawda historyczna; dlatego radzi wybrać jedno ważne zdarzenie, na które wskazywałyby podania wszystkich narodów. Za takie zdarzenie przyjmuje potop, wywodząc go z powodów fizycznych, a mianowicie: przez stopniowe podniesienie się dna morskiego na północy, w skutek przyczyn które wskazuje, wody z półkuli północnej przelały się na południe, i tak utworzył się nasz ląd. Taki potop i przeobrażenie globu powtórzy się kiedyś znowu, będąc koniecznym, jak obieg soków w organizmie zwierzęcym i roślinnym. Kosmogonie uważa za bajki, w których daremnie byłoby dośledzać się prawdy; również obala twierdzenie, jakoby nagle zbliżenie się jakiejś komety spowodowało potop. Dalej opowiada stan ludzi po potopie: wśród okropnego spustoszenia świata mogła ich pocieszać tylko wiara w bezpośrednią nad niem opiekę Boga, a ztąd utworzył się rząd teokratyczny. Zastanawia się nad językami, twierdząc nader gruntownie, że na tej drodze najpewniej możnaby dowieść jedności rodzaju ludzkiego. W czwartej rozprawie rozbiera wiadomości astronomiczne, odnosząc ich początek w czasy przedpotopowe; w piątej mówi o astrologii; w szóstej miał być obraz historii filozofii na Wschodzie, a w szczególności o układach kosmogonicznych i dogmatach teologicznych, na których zasadzało się prawodawstwo dawnych ludów. Wykończył tylko wstęp, wskazując drogę jak badać należało podobny przedmiot. Cała jednak praca, wsparta rozległą nauką i zestawieniem wielorakich dowodów, odznacza się trafnym rozumowaniem i nadzwyczaj przystępnym wykładem, mogącym służyć za wzór dla piszących, jak przedmioty ściśle naukowe zbliżać do pojęcia ogółu czytelników.

Zgłębiając pierwotne dzieje ludzkości, natrafiał na wiele pomysłów i uwag objaśniających początkową historią polską; dzieła jednak nie napisał, tylko uwagi nad Kluweryuszem i Cellarym o Scytyi i Sarmacji, dowodząc że ludy zajmujące te kraje były Słowianami. Nadto w Ołomuńcu napisał ważne dzieło: „Porządek fizyczno-moralny, czyli nauka o należytościach i powinnościach człowieka, wydobytych z praw wiecznych, nieodmiennych i koniecznych przyrodzenia,“ w 3tomach; pierwszy wydany w Krakowie 1810 roku. Dzieło to, pomyślane głęboko, zdrowo, bez reformatorskich wyskoków, użyte było w akademii krakowskiej za podręczne do wykładu prawa przyrodzonego; potem Jarkowski chciał według niego wykladać w Krzemieńcu, ale odwiódł go od tego sam Kollataj, aby nie urazić rektora Strojnowskiego, który wtedy był mu niechętnym.

Staraniem i wpływem księcia kuratora wileńskiego, Kollataj został uwolniony z Ołomuńca w grudniu 1802 r. Ponieważ wszystkie jego dobra, tak beneficjalne jak i własne, zajęte zostały przez Austryaków, znalazł się pozbawionym środków do zaspokojenia pierwszych potrzeb życia. Brat jego Jan, Michał Szymański, późniejszy kommissarz obwodu miechowskiego, któremu przekazał swoje rękopisma, i inni dawniejsi przyjaciele przyszli mu w pomoc znacznymi pożyczkami, ratując go w największym niedostatku. Do kłopotów majątkowych, przyczyniły się dolegliwe

cierpienia fizyczne: choroba artrytyczna, nabyta w ośmioletniej wilgoci, już go nie opuściła aż do zgonu, krzywiąc nadobną jego postać i odejmując mu swobodę do zajęć umysłowych. Mimo to jednak wrodzona, niezmordowana pracowitość nie dozwoliła mu zostać bezczynnym. Przybywszy do Warszawy, gdzie świeżo założone towarzystwo przyjaciół nauk pilnie troszczyło się o ożywienie literatury krajowej, chociaż odmówił należenia do niego, bo już stanowczo pożegnał wszelkie zaszczyty polityczne i naukowe, jednak pośrednio starał się wpłynąć na jego prace, osobliwie na zamiar dokończenia historii narodu polskiego, rozpoczętej przez Naruszewicza. Kollataj uważał tę pracę za przedwczesną, przekonywając przykładem Naruszewicza, który moźolnie błąkać się musiał w nietkniętym jeszcze lesie faktów, że wykonać jej dobrze niepodobna, dopóki nie zostaną wydane i należycie obrobione niezbędne materiały. Dlatego radził przedewszystkiem uzupełnić kodeks dyplomatyczny Dogiela, wydać starannie pisarzy rzeczy polskich, geografii dawnej Polski, obraz obyczajów, zwyczajów i obrządków nietylko szlachty, lecz wszystkich stanów, i inne uprzednie wykonać prace, które nader trafnie wskazał w liście z d. 15 lipca 1802 r., pisanym do księgarza krakowskiego Maja. Po krótkim pobycie w Warszawie, wyjechał na Wołyń, gdzie najprzód blisko pół roku (od 24 stycznia do 6 czerwca 1803) bawił w Berehu u Michała Deniski, podkomorzego krzemienieckiego, potem przeniósł się do Krzemieńca, mieszkał tam do kwietnia 1804, wreszcie gdy sprawa o odzyskanie majątku poszła w Wiedniu w długą odwołkę, osiadł w Stołpcu, niedaleko Krzemieńca, na małej dzierżawie. „Ułożył sobie prowadzić życie spokojne, nieznanne, uważając do jakiegos czasu nieczynność, a prawie nieuczulność na wszystko co się około niego działo, za konieczne dla siebie prawidło.“

Ale w bliskości, w Porycku, żył osobliwszy człowiek czynu, zajęty literackimi pracami, a jeszcze bardziej urządzeniem szkół w trzech tamtejszych guberniach. Oddawna złączony przyjaźnią z Kollatajem, z radością dowiedział się o jego przybyciu na Wołyń i natychmiast, bo już 12 lutego, odwiedził go w Berehu. Ten, co niegdyś odnowił akademią krakowską i ułożył znakomity plan wychowania publicznego w całym kraju, przy jedenastoletnim doświadczeniu w tej rzeczy i ogromnych zdolnościach, był wtedy najwłaściwszym u nas prawodawcą w sprawie wychowania. Trafnie ocenił to Czacki i wystawiwszy z zapałem całą ważność zadania, namówił Kollataja do udziału w pracy, przyrzekając, stosownie do położonego przezeń warunku, że imię jego całkiem zostanie ukryte, że wszystkie plany i projekta Czacki będzie przedstawiał od siebie. Dla szkół całego wydziału wileńskiego ustawy już były wydane i zatwierdzone; ale chociaż po największej części oparte na pomysłach komisyyi edukacyjnej, nie zaspokajały wymagań współczesnych. Kollataj upatrywał w nich wiele wad, i dlatego na prośbę Czackiego napisał nad temi ustawami swoje uwagi. Kiedy po kilku tygodniach przywiózł je do Porycka, tak się podobały Czackiemu, że chciał je przedstawić księciu kuratorowi; lecz Kollataj oparł się temu stanowczo, twierdząc że łatwo będzie odgadnąć autora, który przez to narazi się na niechęć uniwersytetu. Czacki nie nalegał, lecz prosił Kollataja, aby napisał projekt urządzenia gimnazyów gubernialnych, a gdy ten był gotów, gdy ofiary obywateli się pomnażały i wzrastała nadzieja że plany Czackiego zatwierdzone zostaną, Kollataj wypracował obszerny projekt urządzenia gimnazjum nauk wyższych w Krzemieńcu, przy niem seminaryum dla nauczycieli szkół parafialnych i instytutu guwernantek, a wreszcie projekta dla szkół powiatowych i parafialnych. Prace te, ogłoszone drukiem 1844—5 r. w Krakowie przez F. Kojśiewicza w korespondencyi Kollataja z Czackim, pokazują wielki i niezmiernie ważny udział pierwszego w całym tém sławnym dziele. Aż serce rośnie, wczytując się w wykończone przezeń plany, projekta, uwagi na odpowiedź uniwersytetu i udzielane rady w listach, tyle tam jasnej, zacnej, organizacyjnej myśli, doświadczonej bacności i wszechstronnego uwzględnienia najdrobniejszych potrzeb i szczegółów. Zastanawia, jak Kollataj w krótkim czasie mógł tyle obmyśleć i napisać, i to wśród bardzo dokuźliwej słabości, wieku, kłopotów majątkowych i różnych przeszkód, które trzeba było uwzględnić. Dowodzi to że posiadał nadzwyczajną łatwość w pracy, a myśli wielkie, jasne, wszechstronne płynęły mu jakby z natchnienia.

Wspólnie z Czackim, zrzekłszy się najzupełniej miłości własnej i nie szcędząc najusilniejszych trudów, każdy w swojej sferze, zbudowali szkołę według życzeń i istotnych potrzeb kraju. Czyniąc im zadosć, stała się prawdziwą przewodniczką życia i zyskała ufność, szacunek i wdzięczność, którą po tylu już latach z głębokim uczuciem wyrażają dawni jej wychowawcy.

Mysł zdrowa i chęć zyciowa wydały płodne następstwa. Wśród wdzięcznych wspomnień dla Czackiego, wypada uwzględnić i ważną zasługę Kollątaja, który wiekopomnemu dziełu pierwszego nadał piętno dojrzałości i zupełnego wykończenia, obdarzył je kosztownym gabinetem mineralogicznym i ważnymi książkami, dobięrał nauczycieli, układał dla nich instrukcje i programata nauk, przeglądał i poprawiał mowy i sprawozdania i sprowadzał harmonię. Czacki „z wdzięcznością i uszanowaniem przyjmował prace, które Kollątaj pozwalał mu przyswajać, ze czcią i upragnieniem oczekiwał ich ukończenia,“ a gdy nareszcie 4 października 1805 r. gimnazjum otwarte zostało, uczył swego współpracownika zaszczepnym listem.

Od czerwca 1806 r. Kollątaj przeniósł się do Tetylwiec, położonych także w bliskości Krzemienia. W tej pustyni, jak ją nazywa w swych listach, przyjmował Czackiego i Jana Śniadeckiego, korespondował z nimi w przedmiotach naukowych, tudzież z J. P. Woroniczem, Bogumilem Linde, Euzebiuszem Słowackim, Alojzym Osinińskim i innymi uczonymi, niosąc im rady, objaśnienia i zachęty w ich pracach naukowych; jeździł na egzamina roczne w szkole krzemienieckiej i wykończył swoje prace naukowe. W 1807 roku wyjechał do Moskwy. Po zawartym pokoju w Tylży, wrócił do księstwa warszawskiego i zamieszkał w departamencie kaliskim, ogłosił dwa dzieła: „O politycznym stanie Europy“ i „Uwagi nad terazniejszym położeniem księstwa warszawskiego.“ Mysł jego ożywiła się, jasniejąc dawniejszym swoim blaskiem; ale i tego, chociaż tylko literackiego wystąpienia, nie przebaczyła mu zazdrość, przypisując je chęci zwrócenia na siebie uwagi i wejścia do urzędowania. I dla czegożby to miało być grzechem, przy nadzwyczajnych jego zdolnościach, doświadczeniu, dawnych zasługach i dotąd świeżym jeszcze umyśle? Widać że to był człowiek, co niegdyś do głębi zranił namiętności ludzkie, gdy te przy lada okoliczności tak się poruszały przeciw niemu. Ale Kollątaj nie pragnął już posady publicznej, jak to widać z jego odpowiedzi na list Jana Śniadeckiego z d. 19 listopada 1809, w którym go ten zachęcał, „aby odzyskawszy swą własność i zapewniwszy sobie byt wygodny na resztę życia, oddał się całkowicie naukom, a mianowicie historii polskiej.“ Po przyłączeniu do księstwa krajów, gdzie były dziedziczne i dożywotnie dobra Kollątaja, pospieszył do Krakowa, chcąc je odzyskać najbardziej dlatego, aby uścić się wierzytelcom, którzy z przykłądną delikatnością oczekiwali tyle lat swojej należyłości. „Zadnego, powiada, nie uczyniłem kroku, aby być pomieszczonym w liczbie rozkazujących lub wykonawców. W staraniach o odzyskanie mojej własności nie byłem natrętnym; przelożyłem co mi się należy i drogę którą można się przekonać o rzetelności skargi. Jeżeli odzyskam moją własność, oddam się spokojnej pracy.... wszak po tylu pracach mam prawo do chlubnego spoczynku.“ W tym spoczynku zamierzył sobie napisać przeciw Rulhierowi uwagi nad stanem rządu w Polsce, od najwcześniejszych początków, aż do roku 1794. Przy gruntownych jego wiadomościach w historii i prawie krajowym, przy zdolnościach i doświadczeniu, zapewne byłoby to znakomite dzieło; ale warunek od którego zależał spokój i dalsze prace umysłowe Kollątaja nie spełnił się. Świat nowy nie umiał, a raczej nie miał czasu wejść w słusność jego żądań, i zwrot dóbr szedł z oporem. Aby stanowczo zakończyć tę długą sprawę, sam wybrał się do Dreżna, przedstawił ją królowi i uzyskawszy zapewnienie prędkiego zadosyć uczynienia, pełen otuchy że będzie miał czem się pocieszyć na resztę skołatanego życia, wrócił do Warszawy. Lecz osobiste szczęście nie miało być jego udziałem; ledwie usunął do niego przeszkody, umarł w Warszawie dnia 28 lutego 1812 roku.

Jan Śniadecki, co w Krakowie przez sześć lat zostawał z Kollątajem w bliskich stosunkach, bywając w Warszawie zatrzymywał się w jego domu, miał sobie powierzane najskrytsze jego myśli, wreszcie odwiedził go na Wołyniu i tym sposobem widział go w czasach największego znaczenia i wpływu, a potem niedostatku i cierpień fizycznych, we wspomnieniu jakie wkrótce po śmierci Kollątaja napisał, mówi o nim wszędzie z uwielbieniem, kręśląc wspaniały obraz jego charakteru i przymiotów. „Był Kollątaj, powiada, postaci przystojnej i szykownej, w mowie łagodny, poważny, płynnie i przyjemnie tłumaczący się, umysłu zawsze przytomnego, charakteru żywego, śmiałego, więcej skrytego jak otwartego. W mocnych poruszeniach umiał się miarkować i posiadać. Tkliwy na cierpienie ludzi, nie miał w sobie ani zawziętości, ani zemsty. W przywiązaniu giętki aż do słabości, w przyjaźni nadto łatwy, stateczny, ale nieszczęśliwy. Sam obyczajów prostych i czystych, zawsze baczący na przystojność, był na słabości ludzkie wyrozumiały,

dla swych sług i domowników słodki i przychylny. W wydatkach domowych hojny, lubiący życie wystawne i wygodne, ale umiejący spokojnie znieść niedostatek. W zamysłach i przedsięwzięciach śmiały aż do uporu; żadne przeszkody i zawady nie zdawały mu się do pokonania trudne, bo w żyznej swojej głowie znajdował zaraz rozliczne środki do uniknięcia ich albo do zwyciężenia, i dlatego gdy raz plan robót ułożył i popierać zaczął, wszystkie zarzuty i trudności były popisem dla jego głowy, ale nie osłabieniem przedsięwzięcia. Przy bystrym pojęciu, przy dziwnej łatwości w robieniu i pisaniu, pracowitość wielka, niezmordowana. W przeciwnościach cierpliwość i wytrzymałość prawie stoicka. Naukę i każdy w ludziach talent kochał, pojmował i poważał. Krytykować nie lubił; gdzie było coś zganić, tylko się wstrzymywał od pochwał.“

Rzadkie to, zastanawiające przymioty i wysokie zalety, a taki mąż jak Jan Śniadecki, nie może być pomówiony o próżną deklamacyę. Sam Kollątaj został o sobie świadectwem w swęj ostatniej woli. Uczynione w obliczu śmierci, może być przyjęte, chociaż we własnej sprawie. „...Grób stał się dla mnie pożądanym, spieszę do tego domu wieczności, gdzie wolny od niesprawiedliwości i niewdzięczności ludzkiej, odpocznę na zawsze.“ Wyznaje dalej że żył i umiera w wierze katolickiej, która, jak mówi, „nie była nigdy ciężarem dla jego rozumu. Wię Bog, że wszelkie porycwzności zapalonych umysłów naganiałem i ile się dało tłumilem... Czyniłem dobrze ile mogłem, nie dlatego abym się ludziom podobał, lecz abym zbliżył dobro im potrzebne.“ Ten ustęp przypomina wyrazy największego człowieka w kościele katolickim, Grzegorza VII, gdy znękanymi przeciwnościami, umierając na wygnaniu, wyrzekł: „Dilexi justitiam et odi iniquitatem, propterea morior in exilio.“ (Ukochalem prawdę, a niesprawiedliwość miałem w obrzydzeniu, i dlatego umieram na wygnaniu.) Kollątaj umierał wprawdzie wśród swoich, lecz spotwarzony i prawie w nędzy. Potwarcom szczerze przebaczył już dawno i przebaczenie to, powiada, „nawet niewiele mnie kosztowało.“ Ubóstwo znosił cierpliwie. „Tak się podobało Opatrzności. Nie sarkalem na jej wyroki, uważałem je owszem jak widome dobro. Było to gorzkie ale skuteczne lekarstwo, które posłużyło do okazania przed światem mojej niewinności. Stan nędzy, w którym mnie śmierć zastaje, najwidoczniej każdego przekona, jak złośliwie mnie spotwarzano, rozgłaszając że miliony publicznie ukryłem, że w momencie ogólnego upadku o sobie nie zapomniałem... Nie nawisł i potwarz nie ma więcej potrzeby krzywdzić moich popiołów, a jeżeli prawdą nie była wszystkim dotąd znana, stanie ona teraz na moim grobie i do-wiedzie, że nie mam, co bym mógł nazwać moją... Bezstronniejsza potomość przyjmie to usprawiedliwienie, i uznając w Kollątaju najpotężniejszą umysłowość współczesnej mu epoki, zarliwego obywatela, co przyjmował szczerzy i stanowczy udział w najważniejszych usiłowaniach i pracach, biorąc dla siebie zawsze najtrudniejszą, zaliczy go do największych mężów naszego narodu.“

Wojciech Grochowski.

KODEKS CYWILNY

I PROCEDURA MAŁŻEŃSKA.

(Dokończenie.)

Po podaniu ręki, patrzyli sobie w oczy oboje długo i rokosznie, a każdemu zdawało się, że szuka w drugim wad i przymiotów. Słów do tej rozmowy tajemniczej nie było. Ona założyła rączkę na piersi, przyciskając mocno bijące serce, a Władysław skubał w kawałki jej robotę haftarską, do której tyle było przyszytych błyszczących farb, szkiełek, szychu, ile usłyszała w czasie tej roboty komplementów od powszednich ludzi, ustrojonych w uniform konkurenta.

Tę rozmowę tajemniczą przerwała... proza życia, wiadomość że herbata na stole. Zerwali się tedy wszyscy, a Jadwiga, ocknawszy się, zobaczyła przed sobą cały stół zasypyany strzępami z jej motyla olbrzymiego, wedle pomysłu norymberskich fabrykantów deseni. Rozśmiała się serdecznie, wskazując Władysławowi na tę ruinę okropną jej budowy.

— Przepraszam panią, jestem czasem roztargniony i nie wiem co robię.

— Masz pan zupełnie przebaczenie odemnie, ale poszukaj przebaczenia tych, którzy czcili tę siatkę sztywną, jak relikwie ołtarza.

— Biedni ludzie, tak im mało potrzeba!...

— Dlatego też zapragnąłeś wiele.

— To prawda!...

— Opatrzność rozświeci naszą przyszłość.

— A to co? zawołał Grzesio wielkim głosem, i zaśmiał się długo, przeciągle, jak turkot regularny bryki jadącej po bruku. Znać zaraz Władysław Wczoraj poprut całą pończochę robioną przez moją ciotkę, onegdaj poskubał wachlarz panny Zarembianki, dzisiaj padła ofiarą panny Jadwigi ciężka praca.

— Oj, zapewne że ciężka, odezwała się Jadwiga, biorąc w objęcia śliczną Józję, która zbliżyła się do niej z oczkami skapanemi łezką brylantową, łezką co wypaść chciała na wolność, ale ją wstrzymywały długie, czarne, mięciuchne rzęsy jej powiek. Józja z tą łezką nie wyglądała przecież na nieszczęśliwą!...

Noc była ciemna, a ziemia jak sukno czarne. Woznica wyperswadował sobie kierowanie końmi, zdając się całkowicie na ich instynkt, i puścił lejce wyciągniętego klusa, a panowie na bryczce puścili także wodze swoim marzeniom. Długo tak było, nikt oznaczyć nie mógł, bo tak ciemno, że nos własny trudno zobaczyć, nie dopiero na zegarku wskazówki.

— Jak rany Boskie kocham, tak zapominałem o najgłówniejszym interesie! zwołała nagle Grzesio, a woznica drzemiący chwycił silnie lejce i wstrzymał konie, rozumiejąc że panowie wrócą się do dworu.

— Czego stoisz, gapiu? Ruszaj! nie do ciebie mówię! Konie ruszyły dalej.

— Jakież to interes? spytał wesoło Władysław.

— Miałeś mię obserwować i obserwowałeś pewnie. Powiedzże mi kochanie, jak sądzisz? Bo ja dalibóg coraz bardziej błędzę, kiedy się badam!...

— Jakże ci się dzisiaj zdaje?

— Mnie się zdaje, że Józja jest najpiękniejszą kobietą na świecie!

— To Wenus medycejska.

— Chciałem powiedzieć to samo, ale nie mogłem dzisiaj zrobić porównania; bo pannę Jadwigę opanowała taka melomania, że grała i grała bez końca i miary.

— A tobie przez ten czas zdaje się że było wcale dobrze przy Józji!...

— Jak rany Boskie kocham tak prawda!

— I czegoż chcesz więcej dowiedzieć się jeszcze?

— Miałeś mnie obserwować, rzekł trwożliwie Grzesio.

— To też widziałem wszystko.

— Mów, mów! na rany Boskie mów! co widziałeś?

— Że wyszukaliście się jak dwa ziarneczka w korcu maku. Pan Bóg was dla siebie stworzył oczywiście; nawet oboje z Józją macie noski zadarte!...

Grzesio rozśmiał się serdecznie, rokosznie uchwycił Władysława w niedźwiedzie bary, i sciskał jak szalony.

— Ale cóż, mój Władziu, kiedy ja przy niej taki nieśmiały. Chciałem jej sto razy powiedzieć że ją kocham, a nie miałem odwagi!...

— Ośmielisz się powoli.

— Ona tak drżała jak listek, kiedy zbliżyłem się do niej.

— Musiała mieć febrę.

— Ale gdzie znowu? taka zdrowa jak ryba!

— To drżała z kochania.

— Władziu, na rany Boskie, nie żartuj!

— Nie żartuję wcale.

— O Władziu, jaki ja szczęśliwy!

Pocziwy Grzesio, mimo to że noc była ciemna jak czarne sukno, jeszcze sobie oczy zasłonił rękami.

— Ale, ale, a ty o czem tak długo rozmawiałeś z Jadwigą?

— Mówiliśmy o prawdziwym szczęściu na tym świecie.

— Niepodobna!

— A to dlaczego? czy myślisz że ty zagarnąłeś całe? Nie bój się, zostanie każdemu jego porcja przeznaczona i szczęścia i goryczy.

— Dziękuję ci za tę ostatnią.

— Spotkasz się z nią, gdy przyjdzie do układów z Nałęczem.

— O co takiego?

— O posag Józji.

— A niech go piorun trzaśnie z jego posagiem!

Niech sobie weźmie posag, dopłacę mu jeszcze, byleby mi oddał Józję!

— Powiedz mu to od razu.

— Tak sądzisz?

— On lubi pieniądze.

— Wiész co Władziu, Boruch jutro przywiezie mi dwadzieścia tysięcy za okowitę. Miałem je pożyczyć Antosiowi; dam mu jak sprzedam pszenicę, a te dwadzieścia tysięcy gotów jestem!...

— Nie bądźże waryatem!

— Bo mówiłeś że weźmie!...

Po odjeździe kawalerów, panienci, ucałowane przez

oboje państwa Grzymałów, poszły do swojego pokoiku, a ledwie tam weszły, poczęły ścisnąć się i całować serdecznie.

- No, cóż tam słyhać, Józiu, w twojem serduszku?
- Bardzo mi silnie puka, aż się boję żebym nie zachorowała...
- Nie bój się kochanie, przyłóż rękę do mego...
- Moja Jadwisiu, co to jest takiego? i tobie serduszko mocno bije... Żebyśmy się aby nie pochorowały...
- Od czego?
- Możemy zjadły co niezdrowego...
- Cóż ty jadłaś?
- Jadłam melona i sucharki...
- To bardzo zdrowe.
- A ty co jadłaś?
- Ja karmiłam się tylko wonią rezedy którą miałam w ręku.

- Jadwisiu, a tobie miło z biciem serca?
- Bardzo miło, bom szczęśliwa.
- A co ci się wspomina najwięcej?
- Wspomina mi się mój ideał szczęścia, którego długo szukałam na ziemi i znaleźć nie mogłam.
- Gdzież go opuściła i jak on wygląda... poszukajmy. Józia zaczęła szukać oczkami po podłodze.
- Ja go nie opuściłam, tylko Pan Bóg upuścił z nieba, i upadł na ziemię doskonałością wielką. Ja go już chwytam w ręce... O Boże mój, Boże! nie odbierajże go, bo mnie osierocisz bardzo!
- O! nie bądź, nie bądź sierotą Jadwisiu! bo to ciężka, bardzo ciężka dola!
- O! ja nie przeżyłabym takiego sieroctwa.
- Nie bój się, nie bój, twój ojciec zdrowiutenki, mama rumiana i wesola; oni pożyją sto lat każde dla twojego szczęścia.

- Jezus, Marya, Józefie święty!
- Co takiego? spytała Józia przelękniona wykrzykiem przyjaciółki, zrywając główkę z poduszki.
- O ja nieszczęśliwa!
- Na Boga, co ci jest Jadwisiu? czy zębki cię boją? I zerwała się na równe nogi, stając drżąca przy nieszczęśliwej.
- Józiu, pojechać musimy do Warszawy koniecznie.
- A to po co?
- Patrzaj!... To mówiąc, rospaczkliwie wskazała jej swoje dwa przednie zębki u góry, które miały szczerbę w samym ich spojeniu i czarne dwie plamki, grożące zupełnym zepsuciem.
- Prawda!
- Prawda, i straszna prawda! Jutro pojedziemy do Warszawy...



Po podaniu ręki, patrzyli sobie w oczy długo i rokosznie.



Jak rany Boskie kocham! nigdybym cię nie poznał Władziu.

- Możesz głodna?
- O nie, ja szczęśliwa, i dlatego serce mi bije tak mocno.
- A wiesz Jadwisiu, i mnie się zdaje że jestem także szczęśliwa... a dawniej przecież tak samo biło mi serce, kiedy stryjenka hałasowała, albo stryj był w złym humorze.
- Bo to widzisz takie już serce ludzkie, że często bije, ale niezawsze miłe to mocne bicie...
- Mnie dzisiaj bardzo miłe.
- A co ci się najbardziej wspomina?
- Józia zastanowiła się chwilę, a potem zapłonila, zasłoniła buzię i oczy rączkami i przycisnęła główkę do piersi przyjaciółki.
- A widzisz filutko, że ty kochasz.
- Józia westchnęła tylko, nic nie odpowiedziała, ale po chwili spytała:

To mówiąc, Józia ocierała lezki z oczu Jadwigi, a potem całowała te oczki, dopóki się nie roześmiały. Przed niedawnym czasem Jadwiga była lwicą, gniewną że ktoś drugi chciał panować w jej gaju. Srożyła się, planowała zgubę rywalki... A dzisiaj, igra z dzieckiem którego się lękała. To nie była już rywalka, Jadwiga zobaczyła szczęśliwe dziecię, i z rokoszą przycisnęła je do serca. Po chwili tego rokoszowania się marzeniami, dziewczęta rozbierać się poczęły do łóżeczek. Józia, mimo szczęścia swojego, ziewnęła serdecznie. Jadwiga usiadła przed zwierciadłem, rozplatając swoje warkocze. Mimo to że była szczęśliwą, bardzo przypatrywała się sobie, obliczając wszystkie piękności swojego lica. A gdy zadowolona ustroiła minę, przyszedł i uśmiech wesoly, odkryły się zębki z koralowych obłonek.

- Po co?
- Trzeba koniecznie wprawić dwa zębki sztuczne; ja ich potrzebuję teraz koniecznie!
- Narobisz sobie bólu wielkiego...
- Miałabym daleko większy, gdyby on zobaczył...
- Jaki on?... A! filutko, toś ty także zakochana jak widzę...
- Cicho... cicho... moja Józinko, nie mów nikomu ani słowa...
- I uściskała Józję. Potem, drżąca cała, przebrała się szybko w hafty i koronki, spowila główkę głębokim czepczkiem, stanęła naprzeciw zwierciadła, zasłoniła oczy rękami i szepnęła!
- O, ja nie przeżyłabym takiego sieroctwa!
- A potem nagle zadmuchnęła świecę i utopiła się... w puchowej pościeli.

(Ob. Dod.)

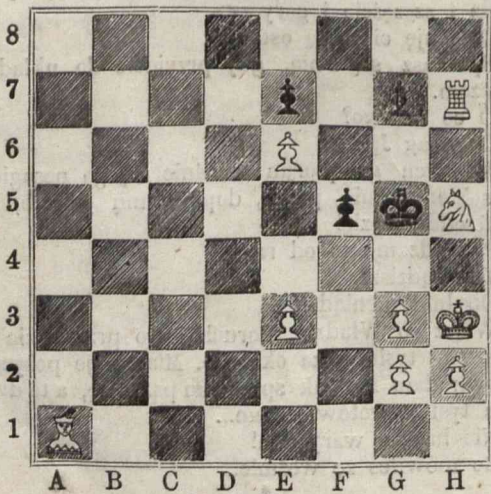
SZACHY.

ZADANIE LXXIX.

Z. Rosenthal z Suwałk.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 78.

Białe.

Czarne

- 1) G 7 — E 5 biorą †
- 2) E 6 — F 4 . . .
- 3) C 4 — B 2 † i mat
- 1) D 5 — E 5 biorą. (*)
- 2) Laufer jakkolwiek.

Szarada ukryta w szachownicy, w N. 102 do nagrody podana, brzmi jak następuje:

Wyraz pięciogłoskowy, odmianę wyraża. Bez pierwszej zgłoski ludzi poniża, znieważa; Bez pierwszej i czwartej wzbudza zaufanie; Bez drugiej i czwartej znaczy coś w odmianie, Lub nad możność użycie, lub co lepsze uznanie.

Znaczenie jej: *prze-o-bra-że-nie.*

Z Warszawy dwa nadeszły rozwiązania, od p. p. Z. S. i F. K.; z prowincyi jedno tylko, od p. A. Z. w Lublinie; wszystkie trzy dobre.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 102.

Stare przysłowie mówi, że pańskie oko konia tuczy.

(*) Gdyby król czarny usunął się na C 6, widocznie dostałby mata w drugim posunięciu.

REBUS.



o nie

(Dodatek).